NUMER 35. DNIA 30-go SIERPNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(9)

Stefan milczał, szukał wyrazów pociechy i nie znajdował ich. Sam czuł lęk pewien przed tym przepaścistym, ludnym światem, od którego odwykł i który nagle się znów przed nim otwierał.

— Jakoś to będzie! — wyrzekł wreszcie.

— Szanowni państwo pasażerowie! — zabrzmiał w pobliżu małżonków głos chropawy.

Anna drgnęła i schwyciła męża za rękę.

— ...Czy nie raczycie przyłączyć się do naszej kompanji na zapoczątkowanie podróży?... — gadał uroczyście Damian, występując zza łodzi.

— Idź, Stefanie, ja położę się spać, jestem zmęczona... — powiedziała Anna.

Po chwili Karski siedział w kole orylów i znów ciekawie przyglądał się ich malowniczym postaciom w blasku ognia.

Nie pił, więc wkrótce poczuł się tu intruzem.

— Owszem. Więcej dla nas zostanie! — wyrzekł kupiec z obrazą, biorąc od niego nietknięty kieliszek.

Karski ruszył ustami, lecz odpowiedzi nie znalazł, uśmiechnął się tylko. Uśmiech nie wywołał współczucia. Oryle spoglądali nań wyczekująco i nieprzyjaźnie.

Życzę wam powodzenia! wykrztusił wreszcie Karski i podał rękę Damianowi. Czuł się, jak na szpilkach i bardzo był kontent, gdy nagle szmery na rzece zwróciły w tę stronę uwagę obecnych.

— Płynie ktoś!

— A niech płynie! Dalej chłopcy, zabierajcie się, bo do północka przesiedzimy, czekając nie wiadomo na co... Dać panu mięsa, panie pasażer?! A może pan i mięsa nie jada?

Karski kiwnął głową, przyjął kawałek nadzianej na drewniany szpikulec wołowiny i wyciągnął swój nóż z pochwy. Inni już pracowali nożami i zębami, obgryzając z chrzęstem kości i mlaskając wargami. Kieliszek krążył, twarze rumieniły się, oczy poczynały błyszczeć.

— A szkoda, że Indor z nami nie poszedł... Wesoły... — rzekł z żalem Bryłkin.

— Niech Bóg uchowa!... Ofiarowałem świętemu Mikołajowi świeczkę, że mię od niego wybawił... Burzyciel, przechera i nie wiadomo co jeszcze — mówił żałośnie Damian.

— Niebezpieczny człowiek! — potwierdził Koźma.

Oryle uśmiechali się nieznacznie i milczeli.

— O tak, szkodliwy człowiek! — przywtórzyli jedynie obaj Żyganowie. Lecz jednocześnie obejrzeli się za siebie na rzekę, skąd coraz wyraźniej dobiegał łopot uderzających wioseł.

— Ohej! — doleciał ich wkrótce pytający okrzyk.

— Bywaj!.. Kto tam?..

— A wy, czyi jesteście?

— Koźmy i Damiana!..

— Właśnie! Was szukamy! Przybijaj!

Czekali z wyciągniętemi szyjami, zapatrzeni w stronę, gdzie wśród krzewów łoskotała przybijająca łódź. Za chwilę wikliny rozstąpiły się i ukazał się Indor z przewoźnikiem, Jakutem.

— Skąd? Poco?..

— Stęskniłem się.., — mówił poważnie Indor z ręką na sercu. — Taką uczułem tęsknotę, że zaraz siadłem list pisać, ale że poczta tu nie chodzi, więc go sam przywiozłem. Oto on! Nie odtrąćcie opuszczonego towarzysza — dodał, wyjmując z zanadrza zaszarganą kopertę. Podawał ją najbliższym, ale wszyscy odsuwali się ze śmiechem, podejrzewając żart nieprzyzwoity.

— Przyznaj się, stary opoju, że zwąchałeś wódkę! — żartował zadowolony Bryłkin.

— Nawet wiedziałem, że napewno będzie... Wasza miłość słów nigdy na wiatr nie rzuca! Widziałem tego Judasza, jak wynosił z szynku beczułkę. Wydała się wartą fatygi. I nawet ta jakucka morda dała się przez nią skusić.

— Tylko ty, Indorze, tutaj nie możesz sobie pozwalać. Judaszem mię nazywasz! — obruszył się Damian. — Tu nie miasto, tu z tobą krótkie gadanie.

Włóczęga przyjrzał mu się zmrużonemi wzgardliwie oczami, poczem trzymany w ręku kieliszek wódki szybko wychylił i wąsy ręką obtarł.

— Oj, Damianie! Damianie!.. Niewdzięczniku! Losy ci posyłają wybornego wioślarza, starego, doświadczonego oryla, a ty wydziwiasz!.. Czyżby was, bracia, było istotnie za dużo i łódź wydawała się wam za lekką?.. Ale nie po to przychodzę a z powodu, że nie mogło sumienie moje, Damianie, znieść twego zadatku... Po to jedynie przyjechałem, aby ci go oddać... Ale ponieważ, psia twoja mać, wzgardę mi okazujesz, oddam ci go za karę dopiero jutro!..

Wszyscy, wyjąwszy Damiana, brali się za boki.

— Ach, szelma!.. Pies!.. Słyszeliście, co wywymyślił.. Su-mie-nie!.. Ha!.. ha!..

— Już dobrze! Dość!.. Rachunki jutro!.. Dzisiaj dawajcie, chłopcy, hulać, śpiewać... Dalej, Indor, zaczynaj!.. — nastawali kupcy.

— Poczekajcie, niech sobie trochę gardło przetrę... Mam jeszcze grdykę pełną mgły rzecznej.

Bryłkin podał włóczędze już nie kieliszek, ale pełną filiżankę wódki. Indor wypił, czapkę na ucho nasunął, oparł się rękami o kolana, pochylił naprzód i zaśpiewał wysokim falsetem:

Oj na morzu, morzu sinem

. . . .

Oj na morzu, morzu sinem —

odpowiedział nizko i potężnie chór.

Płynie łabędź, łabędź biały —

wciął się znów weń ostrym głosem Indor.

Płynie łabędź, łabędź biały —

huczał wtór.

(C. d. n.)

Przyszłość rolnictwa.

Dr. E. DAVID: *DWIE ROZPRAWKI O STOSUNKU SOCJALIZMU DO ROLNICTWA* — spolszczył Dr. Wł. Gumplowicz, Lwów 1904. Polskie Towarzystwo nakładowe. Cena kor. 1·50, str. 126.

Jak sam tytuł wskazuje, rozprawy Davida poświęcone są jednej z najmniej opracowanych w literaturze socjalistycznej kwestji, a według słusznej uwagi wydawców, ważnej szczególnie dla nas, jako narodu przeważnie rolniczego.

Rozprawa pierwsza jest przekładem wstępu do obszernej pracy Davida p. t. „Socjalizm a rolnictwo“, której dopiero tom pierwszy, poświęcony technice rolniczej, wyszedł w roku bieżącym. Wstęp ten kreśli obraz historyczny dotychczasowych zapatrywań socjalizmu na sprawy agrarne

w ogólności, a na drobną własność ziemską w szczególności. Przypomina więc enuncjacje międzynarodówki, przedstawia wyczerpująco stosunek do tej sprawy niemieckiej socjalnej demokracji od r. 1870 aż do przełomowego roku 1893., kiedy zaczęto poddawać w wątpliwość miarodajne dotychczas dogmaty czystego marksizmu, upatrującego przyszłość rolnictwa w rozwoju wielkich gospodarstw, a upadku drobnej gospodarki z równoczesną proletaryzacją włościaństwa.

Nazwaliśmy r. 1893 przełomowym, gdyż w roku tym na zjeździe partji socjalno-demokratycznej w Kolonji, na wniosek posła Schoenlanka, postawiono kwestję agrarną na porządku dziennym zjazdu następnego, mającego się odbyć w r. 1894 we Frankfurcie n. M.

Na tym ostatnim zjeździe po raz pierwszy wystąpił publicznie w osobach Schoenlanka i Vollmara) ów duch opozycji przeciw dotychczasowemu programowi partji w kwestji agrarnej i zarysowały się kontrowersje, trwające po dzień dzisiejszy. Jednym z objawów tej kontrowersji są prace Davida. Streszczenie jego zapatrywań na kwestję agrarną znajdujemy w ustępie 6-tym pierwszej rozprawy oraz w całej rozprawie drugiej, będącej przekładem odczytu, który autor wygłosił w roku bieżącym w Wiedniu a następnie wydrukował w miesięczniku „Deutsche Worte“, redagowanym przez Pernerstorfera.

Spór o pierwszeństwo między dwoma typami gospodarki: wielkiej i drobnej już w połowie zeszłego stulecia poważnie zaprzątał ekonomistów. Dość przypomnieć gruntowne dzieło Bernhardi'ego. Ale ze szczególną natarczywością narzuciła się ta kwestja z chwilą groźnego dla rolnictwa europejskiego przesilenia, spowodowanego konkurencją zamorską. I oto, poczynając od ostatniego dziesięciolecia wieku XIX., ciągnie się szereg prac (jak: Seringa, Anhagena, Stumpfego, Suberga, Klawkiego, Huschkego), opartych na szczegółowych badaniach gospodarki rolnej w różnych częściach państwa niemieckiego (Stumpfe badał Śląsk, Klawki — Prusy wschodnie), prac, które stwierdzają jednomyślnie, że małe gospodarstwa dają wszędzie z hektara powierzchni dochód największy, i to zarówno brutto, jak netto.

Do tego samego rezultatu dochodzi autor omawianej pracy. A dochodzi do takiego wniosku drogą rozważania szczegółowego techniki rolnej, pod wielu, i to zasadniczymi względami, wielce od techniki przemysłu różnej i odrębnej. „Jeśli pisze David na str. 103, stoimy przed zadaniem wydobycia z danego obszaru ziemi produktów o coraz to większej wartości, to im więcej napiętym stanie się wyzysk ziemi, tem korzystniejszą stanie się stosunkowa pozycja drobnego gospodarza, uprawiającego ziemię własną pracą. Im mniej napiętą jest gospodarka, tem mechaniczniejszą, tem bardziej szablonową jest praca i tem prędzej może być dokonaną przez zastępy robotników, którym ta praca w duszy jest obojętną. Im bardziej zaś napięta gospodarka, tem potrzebną jest większa ilość roboty wykwalifikowanej, pracy zindywidualizowanej, niezdolnej do szablonowości“ i, dodajmy, ręcznej, a nie maszynowej.

Obok tego faktu jednego postawić należy jeszcze i drugi, niemniej ważny, a mianowicie, że „właśnie w zachodnio-europejskiej strefie przemysłowej coraz więcej lokalizują się te gałęzie uprawy, które wymagają wielkich ilości wykwalifikowanej ludzkiej pracy ręcznej“, że ekstenzywne gałęzie uprawy n. p. masowa produkcja zboża, pozwalająca używać na wielką skalę maszyn, wskutek ulepszania komunikacji i środków transportu przesuwa się ku coraz odleglejszym kresom. „Jeszcze około połowy 19. wieku pisze David na str. 105. — Niemcy wywoziły zboże do Anglji. To już dawno ustało. Niemcy same zaczęły sprowadzać obce zboże. Kiedy Caprivi zawierał swoje traktaty handlowe, Austrja jeszcze wywoziła zboże do Niemiec. Dzisiaj i to minęło. Rosja stała się śpichlerzem zachodu, a dziś już i Syberja zaczyna być takim śpichlerzem“. Jednocześnie i w Ameryce odbywa się to przesuwanie masowej produkcji zboża coraz to dalej na zachód, do Dakoty i Kalifornji.

I to daje Davidowi prawo twierdzić (str. 67), że: „D r o b n a g o s p o d a r k a j e s t w y ż s z ą w t y c h g a ł ę z i a c h, n a t y c h s t o p n i a c h i n t e n z y w n o ś c i i w t y c h w a r u n k a c h p r o d u k c j i, d o k t ó r y c h d ą ż y r o l n i c t w o E u r o p y z a c h o d n i e j d z i ę k i k o n k u r e n c j i z a m o r s k i e j... Taka moja teza w jak najwyższym stopniu sprzeciwia się przepowiedniom Marksa o rozwoju rolnictwa. T w i e r d z ę, ż e r o z w ó j i d z i e w r ę c z p r z e c i w n ą d r o g ą... P r z e j ś c i e d o n a j w y ż s z e j i n t e n z y w n o ś c i s p r z y j a p r z e j ś c i u d o g o s p o d a r k i d r o b n e j. Łódka drobnego włościanina nie steruje przeciw prądowi rozwoju, ale płynie w jednym z nim kie-

runku... Maszyna nie zabija drobnego chłopa, uprawiającego ziemię własną pracą. A zatem bądź cobądź nie może być zadaniem socjalistycznych teoretyków i praktyków robić to, czego maszyna nie potrafi. Chłop zresztą nie dałby się zabić...." A ponieważ przyszłość w rolnictwie należy do gospodarki drobnej, więc, podnosząc poziom dochodów ludu pracującego w przemyśle, stwarza się coraz to zasobniejszych spożywców na płody rolnictwa. Na tym punkcie koncentruje się spólność interesów włościaństwa i robotników.

Takie są myśli przewodnie wielce ciekawych i pouczających rozpraw Davida, upatrującego przyszłość rolnictwa w gospodarstwach włościańskich, połączonych, na wzór Danji, w stowarzyszenia kooperacyjne i federacje tych stowarzyszeń. *(p.)*



Iwan Wazow.

BUŁGARKA

EPIZOD HISTORYCZNY

Przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc.

I.

Dnia 20 Maja 1876 r. w porze popołudniowej, to jest tegoż samego dnia, w którym oddział Botewa był rozbity pod „Wołem" w Bałkanach Wraczańskich, a sam Botew padł przeszyty kulą bandy czerkieskiej pod dowództwem drapieżnego Dżambałasa, — na lewym brzegu Iskru, naprzeciw Lutybrodu, stała gromada kobiet, mieszkanek tegoż sioła. Czekały one swej kolei, aby się przeprawić łodzią na drugą stronę rzeki. W znacznej części nie wiedziały one, co się dzieje wokoło nich, a niektóre — i nie dbały o to. Głośne przemarsze oddziałów z drugiej strony Wracy, trwające już dwa dni, nie obchodziły ich zupełnie i nie przeszkadzały im zajmować się dalej sprawami gospodarskiemi. W rzeczywistości były tam same tylko kobiety, bo mężczyzni pokazywać się nie śmieli. Chociaż teatr walki pomiędzy oddziałem powstańczym a bandami czerkiesów znajdował się daleko od Lutybrodu, lecz wieść o niepokojach doszła i tutaj, rzucając postrach na mężczyzn. Tegoż samego dnia kilku żołnierzy tureckich przybyło do wsi dla chwytania ludzi podejrzanych, a kilku innych przy przewozie dozorowało przeprawiających się. W chwili, o której mówimy, łódź znajdowała się na przeciwnym brzegu a wieśniaczki oczekiwały jej z niecierpliwością, aby się przeprawić. Nakoniec łódź powróciła. Przewoźnik — Lutobrodczanin — podparł łódź wiosłem, aby jej woda nie uniosła i wyszedł na brzeg.

— A, no kobiety, prędzej!

Nagle zjawiło się na koniach dwóch tureckich żandarmów. Skoczywszy prędko z koni, rozepchnęli kobiety, chcące siadać do łodzi. A starszy z dwóch żandarmów, gruby Turek, trzasnąwszy biczem, zaczął wymyślać.

— Precz stąd, giaurskie świnie! Idźcie precz!

Kobiety usunęły się, ażeby znowu czekać.

— Wynoście się stąd, czarownice! — krzyczał drugi żandarm, biegnąc za kobietami z nahajką w ręku. Kobiety z piskiem rozbiegły się na wszystkie strony.

Tymczasem przewoźnik wprowadzał konie do łodzi. Weszli i żandarmi, a gruby zwróciwszy się do przewoźnika, zawołał z gniewem:

— Żadnej suki tutaj nie wpuścisz. Precz stąd! krzyczał, grożąc im dziko.

Kobiety przerażone zaczęły wracać ku domowi.

— Panie oficerze, błagam cię, zaczekaj! — wołała jedna wieśniaczka, szybko zdążająca od strony Czełopieku.

Żandarmi popatrzyli na nią.

— Czego chcesz, babo? — zapytał grubas, po bułgarsku.

Była to kobieta sześćdziesięcioletnia, wysoka, koścista, - o męskiem wejrzeniu. Na ręku niosła dziecię, owinięte w podartą płachtę.

— Pozwól mi się przeprawić, panie oficerze! Puść mnie na łódź, a Bóg cię wynagrodzi zdrowiem dla ciebie i twoich dzieci!

— A toś ty, Ilico? Szalona giaurko!... Poznał ją, bo mu przygotowywała jedzenie w Czełopieku.

— To ja jestem, Ago Hadżi-Hasanie. Weź mnie dla tego dziecka.

— A dokąd niesiesz tego pędraka?

— To mój wnuczek, Hadżi. Matka mu umarła, on jest chory... niosę go do monasteru.

— A to po co?

— Dla odprawienia modłów za jego zdrowie, — mówiła błagalnie kobieta, z wielką trwogą w spojrzeniu.

Hadżi Hasan umieścił się w łodzi, a przewoźnik wziął w rękę wiosło.

— Ago, na Boga, zrób ten dobry uczynek, pomyśl i ty masz także dzieci!... Pomodlę się i za ciebie!

Turek zamyślił się, i rzekł pogardliwie: — Właź, oślico!

Wieśniaczka żwawo skoczyła do łodzi i usiadła obok przewoźnika. Ten ostatni skierował łódź na mętne fale Iskru, wezbranego od deszczów, i posrebrzonego promieniami słońca, zachodzącego poza skały gór.

II.

Biednej wieśniaczce istotnie spieszyło się do klasztoru. Na ręku jej spoczywał chory od dwóch tygodni, dwuletni wnuczek, sierota. Już od dwóch tygodni dziecko nikło w oczach, nie pomogły mu ani babskie leki, ani zamawianie, ani znachor we Wracy. Modlił się nad nim i pop wiejski, nic nie pomogło. Została tylko ostatnia nadzieja w Matce Boskiej. „Niech się modlą nad nim w monasterze, niech się modlą!“ wciąż jej powtarzały wieśniaczki. Spojrzawszy nań dziś po południu, przeraziła się; dziecię było jak martwe. Spieszmy się, a może Najświętsza Matka nam pomoże... I pomimo niepogody, wyruszyła do czerepiskiego monasteru „Najświętszej Panny“.

Gdy przechodziła przez dębowy las i spuszczała się ku Iskrowi, wyszedł z pomiędzy drzew młodzieniec ubrany dziwnie, z ładownicami na piersiach, z karabinem w ręku; twarz miał bladą, znużoną.

— Kobieto, daj chleba! Umieram z głodu! rzekł on do niej zastępując drogę.

Ona odrazu się domyśliła, z kim ma do czynienia. To jeden z tych, za którymi się uganiają!.., Panie Boże! szepnęła Ilica przestraszona. Poszukała w swej torbie i dopiero teraz spostrzegła, że zapomniała chleba; tylko suche skórki były na dnie. Dała mu je.

— Kobieto! czy w tej wsi mogę się ukryć?

Jakżeby się on mógł ukryć w Czełopieku, zobaczą go, wydadzą a jeszcze w takiem ubraniu!...

— Nie można, synu, nie można! odpowiedziała patrząc z politowaniem na jego zmęczoną twarz, na której się rozpacz odbijała. Pomyślawszy trochę, rzekła:

— Skryj się synu tymczasem w lesie, tu może cię kto spostrzedz. Tej nocy czekaj na mnie, niech cię tu znajdę. Przyniosę ci chleba i jaką inną odzież... w tej nie możesz się pokazać. Myśmy chrześcjanie.

Na zgnębionej twarzy młodzieńca zabłysła nadzieja.

— Będę tu czekał, matko, idź, dziękuję!...

Widziała, jak zniknął w lesie, kulejąc. Oczy jej napełniły się łzami. Zbiegła szybko na dół, myśląc:

— Powinnam spełnić ten dobry uczynek... Nieszczęsny! jak on wygląda!... Może za to Bóg się zmiłuje i ocali mi dziecię. — Najświętsza Panienko, dopomóż mi tylko, abym doszła do klasztoru; Panie Boże, czuwaj nad nim, wszak on Bułgar, poszedł na ofiarę za wiarę chrześciańską.

Postanowiła wtajemniczyć w to przełożonego monasteru, miłosiernego starca i dobrego Bułgara; weźmie chleb i odzież wieśniaczą, a po skończeniu modłów wróci zaraz, aby przed zmrokiem jeszcze znaleźć powstańca.

Pospieszała więc z podwójną siłą, aby ocalić życie dwóch istot.

III.

Noc rozpostarła już swe czarne skrzydła nad czerepiskim monasterem. Wąwóz Iskierski pod ciemnem niebem milczał bojaźliwie, rzeka monotonnie i żałośnie szumiała na dole, gubiąc się z głuchym łoskotem na zakręcie pomiędzy wysoko zwieszającemi się nad nią skałami. Naprzeciw czerniały kamienne ściany, zwane „Babine płazy". Stały one ponure i zadumane, z swemi czarnemi grotami, z swymi samoistnymi obeliskami i z drzemiącymi orłami na swych szczytach. Spał i monaster głuchy i samotny.

Nagle uderzono w bramę monasteru.

Psy zaszczekały. Dobijanie się powtórzyło się po raz drugi i trzeci. (C. d. n.)

Karol Notz.

SOŁOTWINA

Ślady dawnej pieczątki gminnej znaleźliśmy na dwóch aktach, mianowicie na akcie z dnia 17. marca z 1838 r. i na kontrakcie z r. 1834. z napisem, podanym na początku niniejszego opisu miasteczka, nie ma jednak nigdzie potwierdzenia podanych nam słów „Sigillum civitatis Krasnopoliensis".

Ukrytą przed okiem widza jest stara kaplica, na dawnym cmentarzu we wschodniej części miasteczka położona. Stoi na końcu cmentarza, zupełnie zakryta drzewem, zarośnięta wysoką trawą, sama staruszka wśród starych dość grobów, omszonych, a w niej również dość stary stół, tworzący niejako ołtarz ze stojącym starym obrazem. „Wozdweżenija Bohorodycy" — z cyborjum drewnianem, bardzo prostej i oryginalnej budowy, z malowidłami, z jednej strony św. Janem Złotoustym, z lewej zaś ze św. Bazylim Wielkim. Obraz Matki Boskiej na drzewie malowany, oryginalny, ponad nim 5 różnych obrazków, zaś z boku po 2 na deskach malowane, tak zwane „prazdnyki bohorodyczni".

I w kapliczce wszystko inne także nie nowe, ale na uwagę tak niezasługujące, jak stara pisana ewangelja, bardzo dobrze zachowana, pokryta zapiskami — nie ulega jednak wątpliwości, że „skitowska"; jest wreszcie i stary „Pomiannyk" z r. 1700.

Zwiedziwszy kościół i cerkwie, powinien każdy ciekawy pospieszyć poszukać resztek dawnych warownych wałów, podumać na miejscach, niejednokrotnie zlanych krwią, na których dzisiaj miejscami wre życie lub rośnie przepyszny kobierzec zieloności.

Na pierwszy rzut oka, nie zwróci uwagi, chyba tylko badacza, ślad wałów koło cerkwi głównej, które przypierają do dawnego cmentarza z wschodniej strony, ale są one mało znaczne, bo w ogrodach dawno rozkopane. Są one robione ręką ludzką, wśród nich widoczne dziś jeszcze ślady piwnic, w miasteczku przerwane, dalej zaś za ogrodami ciągnie się wał aż ku rzece. Widać z tego, że miasto było dawniej tylko do tego wału, a za nim rozciągały się zarośla, nad rzeką leżące, oraz i błota, broniące dostępu do wałów.

Drugiem miejscem warownem w dawnych czasach miasteczka było dziś pole orne, ze dwanaście morgów wokoło, położone na południe od miasta po lewym brzegu Bystrzycy w dość znacznej odległości. Widocznie, że to musiała być jakaś osada, która zdaje się być owym starym Krasnopolem, gdyż i dziś chłopi opowiadają, że tam był jakiś zamek i mieszkał jakiś wielki pan, wokoło zaś leżało miasteczko.

Kilkanaście lat temu, jak słyszałem, były jeszcze znaczne wały, wyższe wtedy, niż 40 stóp, ludzie starzy pamiętają i wskazywali mi ślady, gdzie były baszty, gdzie piwnice, opowiadali, że około r. 1820 czy 1825 jakiś zarządca sołotwiński miał je kazać w pewnem miejscu rozkopywać,

że wiele się ludzi zeszło i po kilku dniach znaleźć mieli wielkie mnóstwo różnej starej broni, podków końskich, kul spiżowych, a nawet liczne kości. Co się z tem stało i czy dalej kopano, nie mogłem się dowiedzieć.

Dziś jest tylko jakiś mały ślad na polu, na pastwisku gminnem, przy drodze do Dźwiniacza, usypany rękoma w kwadrat, dość wysoki, nie ma jednak śladów rowów dokoła, porosły zupełnie trawą, tylko brzegi nieznacznie zdradzają, że dawniej były to nasypy, służące do obrony. Przypatrując się dookoła tym śladom obwarowania jakiegoś zamku, spostrzeżemy łatwo, że ziemia tu była dawniej wodą zalana, bo i moczar zobaczymy i zarośla łoziny.

Jest to zatem miejsce, na którem stała pierwsza osada miasteczka Krasnopol a która wskutek różnych napadów niszczona, zmuszona została do przeniesienia się na drugą stronę Bystrzycy, bliżej stoku pasma wzgórz, zwanego Lubieniec, dla samego swego położenia więcej obronnego i która dała początek dzisiejszej właściwej Sołotwinie.

W starych aktach cerkwi a mianowicie z r. 1723 znajduje się wzmianka o zamku w Sołotwinie.

Zamek ten, gdzie mieszkali wojewodowie jak Tarłowie, Skarbkowie, stał na północ miasteczka, u stóp góry, sam na pagórku, zwanym dziś groble, otoczony naokoło wysokimi wałami, a oblany wodą. Dziś ślady znaczne widzimy w tem miejscu, które jest polem ornem w posiadaniu mieszczanina Jana Łuczyńskiego i Spółki, wały do 15 stóp wysokie, otaczające w kwadrat obszar około 7 morgów. Od miasta była jeszcze tego roku widoczna ściana, ale rozebrana, widoczne są dziś tylko drzwi, prowadzące do zasypanej częściowo piwnicy.

Nikt się o to nie troszczy, to też z każdą niemal chwilą niszczeją coraz bardziej drogie te pamiątki, coraz więcej usuwa je nielitościwa ręka, chyba tylko gdzieniegdzie kryjące się jeszcze w ziemi szczątki pług wyorze, lub ryskal wykopie.

I tu wykopują węgle, gips, szkło, gwoździe, nawet słupy, jakieś kawałki żelaza, ale to wszystko ginie w zapomnieniu. (C. d. n.)

ZAGADKI LITERACKIE.

Serja czwarta*) (1)

Wśród pseudonimów, w niniejszej serji czwartej pomieszczonych, znajduje się jeden równobrzmiący z rzeczywistem nazwiskiem. Głośny swego czasu, jako twórca tajnego sprzysiężenia w Królestwie Kongresowem, ks. Piotr Ściegenny, pozostawił po sobie trwałą pamięć jako działacz społeczny. Skorzystała przed laty z tej okoliczności „Gazeta robotnicza“ w Berlinie, puszczając w obieg znaną odezwę do ludu polskiego z podpisem ks. Ściegennego. Nie była to wszakże spuścizna po nim, lecz utwór p. Stanisława Przybyszewskiego, ówczesnego redaktora „Gazety“.

Poczytny dzisiaj w Anglji powieściopisarz Joseph Conrad jest rodowitym Polakiem i nazywa się Konrad Korzeniowski, tak samo Albert Cim, bibliograf francuski, którego nazwisko brzmi: Cimborowski. W prasie angielsko-amerykańskiej omawia stosunki polskie Wacław Perkowski, podpisując się Wreschen (niemiecka nazwa Wrześni, znanej Amerykanom pod tem mianem). Jeszcze z niwy angielskiej zanotować należy pseudonim James William Whitecross, zamieszczony na angielskiem wydaniu „Charakterów rozumów ludzkich“ Michała Wiszniewskiego (*Sketches and characters*, Londyn 1853).

Z cudzoziemców, piszących o Polsce, wymieniam w dalszym ciągu Fryd. Aug. Gfroerer'a, który pod pseudonimem Ernesta Freymunda wydał w r. 1833 w Stutgarcie „*Polens Kampf und seine Wiedergeburt*“ a wreszcie sławnego filozofa Leibnitza. Tenże, przyznający się, jak wiadomo,

*) Ob. „Tydzień“ z r. 1893 Nr. 9 i 10, z r. 1896 Nr. 25 i 26, oraz z r. 1899 Nr. 28 i 29.

do pochodzenia polskiego (rodzina Lubienieckich), napisał broszurę polityczną w interesie jednego z kandydatów do tronu polskiego, znacząc ją *Gregorius Ulicovius Lithuanus.*
Acer = Dr. Tad. Jaworski.
Aksel = Ignacy Baliński.
Almaviva = Adolf Neuwert Nowaczyński.
Antoszka = Antonina Smiškowa.
Aseret = Teresa Gałęzowska.
Autor książeczki o Wiśle = K. Krynicki.
Autor „Ostatniej ofiary“ = Józef Ciechoński.
Autor „Poglądu na literaturę polską = A. Ślizień.
Autor „Strof“ = Aleks. Kraushar.
Autorka „Kucharza wielkopolskiego“ = Marya Śleżańska.
Ayram = Marya Ruszczyńska.
Banicki = Agaton Giller.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Stanisław Witkiewicz.* Dziwny człowiek. Lwów. — Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. — Księgarnia S. Sadowskiego — 1903.

Zaiste, to dziwny człowiek... Całe życie poświęcił jednej wielkiej i wiele wymagającej idei — sztuce. „Skrępowany materjalnie, zachował nietkniętą swoją bezwzględną, bezgraniczną miłość dla sztuki. — Nie mogąc tworzyć, szukał w niej wrażeń, zaczął więc skupiać jej dzieła“... Dzięki niezmordowanej pracy J. Siedleckiego mamy olbrzymi zbiór wszechświatowych arcydzieł. Powiadam „mamy“, gdyż Józef Siedlecki nie należy do owych „ponurych maniaków — skąpców, którzy w zamknięciu i ukryciu liczą swoje skarby“, lecz gromadził owe arcydzieła po to, iżby je oddać swemu narodowi. To też możemy dziś w naszym kraju oglądać wspaniałe reprodukcje obrazów i rzeźb największych mistrzów świata. Cóż powiesz, synu „Galilei i Głodomerji“ na to, że w twych granicach bawią w obecnej chwili i długo bawić będą tacy goście, jak Rafael, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Botticelli — dalej Holbein, Rembrandt, Velasquez, Van Dyck i tylu, tylu innych? Cóż powiesz na to, że u nas zabawi wreszcie na stałe i Boecklin? Aha! Wzruszysz ramionami, uśmiechniesz się ironicznie i zapytasz: Któż ich tu sprowadził? — Niejaki pan Józef Siedlecki. — Hm — pomruczysz — dziwny człowiek... Prawda? Dziwny.

Zbiorom tego „dziwnego człowieka“ poświęca Witkiewicz całą książkę i eutuzjastycznie, a właściwym sobie jędrnym i barwnym stylem, wita pierwszy u nas w tym rodzaju skarb drogocenny. Bo też ten skarb ma w dziejach naszej sztuki doniosłe znaczenie...

F. Gwiżdż.

Wiadomości bibliograficzne. — Białkowski A. Pamiętnik starego żołnierza (1806 — 1814).

Górski-Pobóg Wł. Powiat Mohylowski w gubernji Podolskiej. Opis geograficzno historyczny wszystkich miast, miasteczek, wsi, słowem zaludnionych miejscowości w tym powiecie. Z dodaniem odpow. dokumentów.

Gumplowicz M. Dr. Początki religji żydowskiej w Polsce.

Staszewski D. Moralność i umoralnienie Kurpiów, studjum obyczajowe.

Warchałowski R. Do Parany. Przewodnik dla podróżujących i wychodźców.

Wydawnictwo Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“. Materjały Nr. 2.

NOTATKI. *Wystawa w Cieszynie.* Cieszyńskie Towarzystwo ludoznawcze polskie uchwaliło jeszcze w lutym r. b. na walnem zgromadzeniu urządzić w Cieszynie wystawę ludoznawczą. W myśl tej uchwały, walne zgromadzenie wybrało komitet wystawowy i rozdzieliło prace. Główne kierownictwo objął ks. Londzin, prezes Towarzystwa. Wystawa będzie się mieściła w gmachu szkoły ludowej i zajmie ośm sal. Dział kościelny obejmie zabytki z dawnych kościołów drewnianych na Śląsku, rzeźby ciekawe, między niemi ambonę z XVI. wieku, dalej obrazy, dwa tryptyki itd.; fotografje lub rysunki dawnych, lub jeszcze istniejących na Śląsku kościołów drewnianych. Drugi dział — sprzęty domowe (stylowe), jakich używano dawniej w domach szlacheckich i mieszczańskich: szafy, biurka (wykładane), zegary, sepeciki i t. d. Dział trzeci, ściśle etnograficzny — sprzęty mieszkania włościańskiego, stroje, obrazy. Tutaj jest zbiór skrzyń malowanych. Dział historyczno-literacki zawiera wielką ilość dokumentów pergaminowych ze starożytnemi pieczęciami, druki przeważnie polskie, starodawne, między niemi polski egzemplarz prawa magdeburskiego z XVI. wieku, kronikę Bielskiego, tomy kazań, starannie przez księży śląskich pisanych, nareszcie książki, broszury i czasopisma polskie, wydane na Śląsku od czasu rozbudzenia życia narodowego. Oprócz tych większych działów będą jeszcze mniejsze, między niemi szałas śląski z całem urządzeniem, dawny przemysł tkacki jabłonkowski itp.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.